

SZTUKA I NARÓD

Nº 7

Cena 3 zł

kwiecień 1943

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

Numerem siódmym rozpoczynamy drugi rok wydawania „Sztuki i Narodu”.

Walcząc z niespodziewanymi trudnościami technicznymi, finansowymi i osobistymi zdołaliśmy wydać przez rok zaledwie 6 numerów, z których każdy zawierał ponad 20 stron.

Wytrwaliśmy spotykając się przez cały czas z nieufnością lub wręcz wrogością ze strony pewnej części czytelników.

Na ataki byliśmy przygotowani.

Ambicją naszą była stanowcza obcość wobec aktualnego zamówienia społecznego na pseudoestetyczne laurki patriotyczne. Przez problemy współczesne przedzieraliśmy się własnymi drogami, choć czasem były to drogi zbyt trudne na nasz odosobniony wysiłek.

Bez względu na ocenę dotychczasowych osiągnięć, jedno już możemy sobie powiedzieć z satysfakcją:

Wywalczyliśmy sobie zdecydowaną postawę wstrętu dla wszelkich szyldów i nieprzegryzionych schematów: zarówno dla mechanicznego totalizmu, jak i dla mechanicznej demokracji, dla naskórkowej hurrapatriotyki, jak i też dla uciekającego od rzeczywistości – klerkizmu.

Budujemy i pogłębiamy naszą młodą twórczością polski uniwersalizm.

Nie wyobrażamy sobie możliwości prawdziwego tworzenia bez przeniknięcia go wielką ideą. Jednocześnie jesteśmy zdecydowani do końca, żeby nie uczynić z naszej sztuki tuby partyjnej.

Byliśmy i będziemy sztuką walczącą.

Jeśli podacie nam w tej walce ręce – staniemy się o nie mocniejsi.

Jeśli będziecie walczyć przeciwko nam – powiększy to tylko naszą wolę zwycięstwa.

UNIWERSALIZM W KULTURZE

Część I

„Nie igram słowami: używam, staram się używać słów najcichszych, tu jednak muszę mówić tylko tymi, które są jedyne. Jest Bóg, żyje prawda, myśl nasza wzrasta w nią i z niej wyrasta poprzez naród. Myśl nasza z naszej wyrasta duszy; życie wytoczyło się z piersi Boga”.

(Stanisław Brzozowski)

Pozostała nam do omówienia i przedstawienia jeszcze dziedzina kultury. Najtrudniejszy bodaj do ujęcia w schemat i strukturę odcinek życia społecznego. Tak ze względu na samo ujęcie rzeczy, jak też ze względu na kierunek, względnie kierunki, na ostateczne cele, które ma wytyczać i wskazywać. Pokusimy się jednak i w tej dziedzinie o szereg wytycznych, nie żeby wyczerpać ten nie do wyczerpania dział życia ludzkiego, lecz by uzyskać całokształt wytycznych uniwersalistycznych, ich zarys dla wszystkich dziedzin życia społecznego.

Pojęcia wstępne, niezbędne jako podstawa do zrozumienia i uprzedmiotowienia tematu, którym się mamy zająć teraz, dostarczają nam dochodzenia uprzednich rozdziałów. Nie będziemy ich dlatego tutaj powtarzać, ani ich po raz drugi wyprowadzać. Są nimi pojęcia odróżniające w jednostce bios i logos w najszerszym tego słowa znaczeniu, pojęcia odróżniające jednostkę jako całość biologiczną i jednostkę jako całość humanistyczną, dalej pojęcie osobowości jednostki, pojęcia potencjału i inne. Zadaniem naszym obecnie będzie rozwinąć treść tych pojęć, oraz rzeczy które oznaczają i doprowadzić je do ich właściwego początku i ostatecznego celu, czyli ująć ją w ich najwłaściwszej istocie. Terminologii będziemy się trzymać ogólnie przyjętej.

Wyjaśnimy więc sobie na samym początku istotne pojęcie, zachodzące w obecnym rozdziale,

pojęcie kultury. Czym jest? Czym się różni od cywilizacji? Odpowiedź podsunie nam obserwacja powszechnie znanych zjawisk. Mianowicie:

Duch ludzki w miarę swego dojrzewania spostrzega, iż wolą i działaniem swoim może wkraczać w ujęty żelaznymi prawami niezmienny bieg i zrab natury i nadawać mu linię i kształt odmienny i wyższy od naturalnego. Czuje, iż mocą własnych w nim drzemających sił i potęg może wykrzesać z martwoty brył w naturze nowe, doskonalsze formy bytowania i istnienia, aniżeli te, które napotkał w otaczającej go przyrodzie. Z kruchych ułomków rudy żelaznej, ze ściętych pni olbrzymów leśnych dziczy, z odłamu bezkształtnego granitowych czy marmurowych brył, stwarza szczyty techniki i szczyty sztuki, z gleby i jej traw urabia łany pszeniczne, stokrotnie niosące plon, a nawet z samego siebie jako tworzy przyrody, z własnej swojej dziczy biologicznej, z swego prymitywu pigmejskiego, czy neandertalskiego, może ukształcić klasycyzm grecki, czy potęgę rzymską. Tak się rodzi kultura („uprawa”). Tak wygląda konkretnie. Można by ją określić, jako „twórczą postawę ludzkiego ducha”, względnie, akcentując bardziej rzecz stworzoną przez czynność kulturotwórczą jako „twórczość dokonaną” na otaczającej przyrodzie, na jej elementach, „na materii”, której przyroda dostarcza. Homo additus naturae¹. Można by też

użyć znanego zwrotu na określenie, natura jest to „uprawa istoty” rozumiejąc pod istotą rzecz taką, jaką nam ją daje przyroda, natura.

Jest uprawą istoty tak własnej, jak otaczających nas dziwów przyrody, dziwów wszechświata. Uprawa zaś nie istoty, tylko formy sztucznej, naddanej przyrodzie, jej kultywowanie stanowiłoby w takim wypadku cywilizację; która w oderwaniu od kultury jest jedynie mechanizacją ducha. Najlepiej jeszcze jednak zdaje się oddawać pojęcie kultury określenie jej jako dobywanie i aktualizowanie potencjału z przyrody, na które sama zdobyć się nie może. Oznacza twórczość. Cywilizacja zaś jest objawem konsumpcji kultury.

Rozpatrując zaś kulturę jako dziedzinę społeczną, jako całość, określa się ją jako „całokształt twórczości” danego pokolenia, narodu, czy jakiegokolwiek innej całości ludzkiej, jako „całokształt przejawów samodzielnej postawy ducha”, cywilizacją zaś w tym znaczeniu nazywamy te same (względnie skądinąd zaczerpnięte) zdobycze i przejawy kultury, utrwalone już w ramach materialnych, a przejęte przez następne pokolenia jako rama czy technika społecznego życia i bycia. Wynalazek telefonu był kulturą u wynalazcy, dla nas zaś jest wyrazem cywilizacji.

Kultura pojęta jako twórczość pozwala na rozróżnienie w swoim całokształcie trzech pojęć:

- 1) Zaznacza podłoże działalności kulturalnej, czyli otaczającą nas przyrodę w najszerszym tego słowa znaczeniu, obejmującą wszystko, cokolwiek jest w wszechświecie (element materialny, surogat).
1. Zakreśla „potęgę” tworzącego ducha, świat twórczych w nim idei i twórczych dynamizmów (element

formujący, formalny, podmiot twórczy).

2. Wyraża samo „dzieło”, twór powstały z współdziałania tych dwu czynników (przedmiot kultury).

Innymi słowy ten sam trójmian, który od samego początku przesuwana się przez naszą pracę, zachodzi również tu: mian potencjału, mian czynnika go aktualizującego i rzecz ukończona.

Z tego trójczłonu pojęć płynie dla naszych rozważań szczególnie ważny trójpodział kierunków kulturalnych na ich trzy zasadnicze typy, zależnie od mniejszego czy większego podkreślenia albo nieuwzględniania któregośkolwiek z tych trzech współczynników prawdziwej kultury, mianowicie: kierunku wysuwającego na czoło zagadnień kulturalnych moment materialny (ideę) i kierunku jednoczącego te dwa momenty. Nietrudno dostrzec w rozróżnić te trzy kierunki w dziejach kultury ludzkiej jako trzy wielkie w niej prądy. Prądy oczywiście jedynie w znaczeniu i ujęciu systematyzującym, nie zaś historyczno-chronologicznym. Nakrywają się genetycznie z systemami, które są przedmiotem obecnej rozprawy. Indywidualizm bowiem okazał się w dziejach prądem ze wszech miar naturalistycznym, że wspomnimy tylko „ojca indywidualizmu” Rousseau’a i jego „retourner à la nature”², którego ostatnim wyrazem jest zupełna materializacja kultury (w kapitalizmie). Totalizm znowu, jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi, zwłaszcza w stosunku do totalizmu bolszewickiego, okazał się kierunkiem wybitnie idealistycznym, tzn. uogólniającym, czyli abstrahującym, czyli konsekwentnie niwelującym, nihilującym wszystko (Platon, niemiecka filozofia idealistyczna: Hegel) z równoczesnym idealizowaniem całości. Taka właśnie jest geneza filozoficzna wszystkich współczesnych „mitowań”

(„Mit XX wieku”, mit „rasy i krwi”, „mit proletariatu”). Uniwersalizm wreszcie okazał się wszędzie kierunkiem i prądem realistycznym (Arystoteles, Tomasz z Akwinu). Między materializmem naturalistycznym a idealizmem nihilistycznym stanowi on wyrównanie polarności i określa właściwą treść kultury. Kulturowy realizm całościowy.

Realizm kulturowy płynie z istoty uniwersalizmu. Jego prazależenia streszczają się w stosownej propozycji poszczególnych części do całości. Nie dopuszcza do żadnej jednostronności, Całość kulturowa, tak jak każda inna całość, istnieje jedynie w swych częściach. Nie wolno żadnej pominąć w całości kształcie kultury, nie wolno ich przewartościowywać. Dlatego też każda kultura uniwersalistyczna nasamprzód uznawać naturę i nie dozwala odwracać się od niej. Ani od tego, co czarem w niej, ani od tego, co jest brutalnością w niej. Nie pozwala również człowiekowi pozostawać tylko „naturą” ani też przede wszystkim naturą. Sprzeciwiałoby się to bowiem prawu hierarchii części. Pozwolić na to mogłaby kultura indywidualistyczna. Człowiek uniwersalistycznie ujęty ma być przede wszystkim sobą. Przede wszystkim osobą. Tzn. przede wszystkim kulturą „istoty wolnej”. Kulturą i wyrazem własnego urobionego ducha. Jednakże nie wolno mu nigdy ograniczać się i działać jak gdyby jedynie był duchem. Prawo całości rządzi powszechnie i nakazuje uwzględniać całość również w człowieku, również w jednostce, tzn. całość jego istoty, całość złożona z ciała i z duszy, z przyrody i ducha, z przyrody, która w uniwersalizmie nie jest więzieniem dla ducha, i z ducha, który nie jest cudzoziemcem w przyrodzie. Jednym słowem kultura uniwersalizmu jest kulturą całości.

Nie jest sumą jedynie swych części. Nie jest ich liczebnością. Liczebność stanowi jedynie o jej bogactwie, nie o jej rozwoju i gatunkowości. Różni się ona więc od swych części. Jest pierwsza z nich. Jest ich normą, celem i prawozorem. Dlatego też nie może uznawać kultywacji części jako części w oderwaniu od całości. Kulturą części jest kultura uniwersalizmu o tyle tylko, o ile wyrasta i zmierza ku całości. O ile jest wyrazem jej twórczych możliwości. O ile jest uaktywnieniem jej drzemającego potencjału. Kulturę części dla części uważa za samobójstwo. Nie uznaje jej. Nawet w człowieku. Kulturę części, wszystko jedno czy tylko materialnej, czy nawet duchowej, człowieka uznaje jedynie pod kątem widzenia całości. Uznaje sport dla spotęgowania ogólnej tężyzny człowieka, uznaje go dla odpoczynku, odprężenia myśli, nie uznaje sportu dla sportu. Uznaje ascezę jako środek dla zawładnięcia samym sobą, uzdolnieniem się do heroizmu etc., nie uznaje ascezy dla ascezy. Hasło „sztuka dla sztuki” wraz ze wszystkimi jego odmianami (Wiedza dla wiedzy etc.) dla uniwersalizmu nie istnieje. Sztuka jest w nim „dla całości”, wiedza dla całości, kultura wszelka tylko dla całości.

Barwnie objaśnia powyższą myśl w stosunku do hasła „wiedza dla wiedzy” A. Górski: „Gdzie w uczonej nie ma tego płomienia zostawienia swej wiedzy dla całości, gdzie jego pracy nie przewodzi wizja życia plemiennego, nie czuwa w jego piersi, nie nawiedza jego myśli i nie podaje mu pochodni do ręki, tam powstać mogą ciekawe rezultaty pochodni naukowej, ale albo niezwiązane z głównym twórczym prądem w społeczeństwie, albo tamujące mu drogę”.

Bez wewnętrznego stosunku do narodowej woli duchowej można napisać sumiennie metodyczne dzieło naukowe dziś o Reyu, po tym

o Buddzie, a jednak będą to utwory mimo erudycji martwe, chłodne, zdeorientowane i dezorientujące. Te proste, jasne i ważne prawdy domagają się u nas szacunku. Powiedzmy wyraźnie: zwłaszcza u nas od uniwersytetów poczynając”.

To celowanie w całość, nawet w dziedzinie twórczości artystycznej, nie ma jednakże nic wspólnego z niewolnictwem. Jest służbą bezsprzecznie. Jest więżą. Bezapelacyjnie. Jednostka-artysta ma się odnaleźć jako człon wyższej od siebie całości. Wtedy naprawdę dopiero jest wyzwolona. Wyzwolona z ciasnoty własnego „Ja”. Wyzwolona z kaprysu i nieobliczalności chwili. Wiąza całości jest z rodzaju tych „więzy, co nie pękają, ale dają swobodę duszy.” (Kornel Ujejski). „Sen o swobodzie tak w tej, jak i w którejkolwiek innej dziedzinie, staje się istotną niewolą”. (Brzozowski). Niewolą sztuki jest nadużycie sztuki. Niewolą dla sztuki jest płaskość. Hasło część dla części oznacza wyłączość. A wszelka wyłączość jest fałszem. A wszystkim

fałsz jest skrępowanie wzlotów w wzwyz. Prawdziwy twórca musi mieć bezkres całości przed sobą, musi wyjść z ciasnego kręgu własnej części, dopiero wtenczas pocnie być wolny. A dumne zamykanie się w granicach jakiegokolwiek części oznacza niewolnictwo.

Miarą nastawienia na całość nie jest oczywiście uznanie przez współczesność. Raczej przeciwnie. Wyspiański za „Wesele” odebrał policzek. Kopernik znalazł się na indeksie. A Chrystusa ukrzyżowano. Miarą nastawienia na całość jest potencjał twórczy, ujawniony w jednostce, a przyrównany potrzebom, zadaniom i rozkwitowi całości.

Całość tym sposobem poczyna się nam jawić jako coś wielkiego, przestronnego. Jako coś wszechogarniającego. Jako wielkość niebotycznych wymiarów. Każdy jej krąg zdobyty, to rozdalający się horyzont. A równocześnie nie ma nic w sobie z rozlewającą się płycizny. Nic z zamykających się konch, czy wód. Jest zawsze bogactwem, zawsze osiągniętą pełnią.

NOWONARODZONEMU

Jakże takimi dłońmi utrzymasz pierś mleczną,
maleńki! – Przecież niełatwo...
W żyłach matki jak mapie drogę sobie wybierasz
i spokojny – wszak nazwali cię człowiekiem –
słuchasz krwi jej. Pięknie szumi twa matka.

Jest jak strumień ciepły i bukiet,
a ty – ryba, koncha lub owad,
mlecznych światów w zadumie słuchasz,
tam kształt pierwszy się zaczął rysować.

Nie bój się rzeczy niedobrych,
do spokoju ich prosto się przytul,
od kołyski znajomy powrót
poprzez głosy zielone i skrzypy.

Zanim stopkami do miejsca dotrzesz,
gdzie prawda będzie jak pień drzewka szorstka,
porzucisz strumień najśłodszy
i miękką zabawkę z włosa.

I zmienisz imię. Zostaniesz tylko upartym lub wątłym,
jak niegdyś żołnierzy z ołowiu siebie popędzisz do marszu,
zbudujesz dom – będzie większy, piękniejszy od tego z klocków,
lecz ci i dom nie wystarczy.

Jakże takimi dłońmi, na których zawiła mapa,
ciągle jeszcze maleńki! – utrzymasz kształt własny?
Już dawno wyciekł szum, piękny szum i matka
wygasła.

Kiedy ziemia cię woła każdym ziarnem jak wargą,
ty powierzasz się oczom wyrzuconym jak mosty,
cieniem własnym się chwiejesz, głos dobywasz z oparu
i jak próchno rozświetlasz twarz swą coraz widoczniej.

I usypiasz w ramionach pustkę, której się lękasz;
nie wiesz tylko, jak wiele snu ci dadzą i kiedy –
Nie myśl. Starczy. Odmierzają, mój chłopaczku maleńki,
i położą w wieczności miękkiej, czystej jak śniegi.

Może skąpić ci będą, ale bardzo miłować,
i odmierzają ci ładnie w metal śmierci warczącej,
wtedy dłonie podniesiesz i znów dźwigniesz na nowo
strumień mleczny.

Jak atlas będziesz dźwigał bez końca.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

LEGENDA O HOMERZE

Na wzorzystym jarmarku, gdzie farby nierówne
korali i lusterek, – tam
kupił drewniany instrument
pełen dzwoniących gam.

Lutnię podobno. Więc uczył
struny niezwykle cienkie
wielu łagodnych nutek
przejęty bólem i lękiem.

Na wybrzeżu, gdzie chudy czart
nozdrza podał ku górze i smyczę
ściągał twardo – on grał
i uciszał rośliny nieliczne.

Tańczyła sól. Wiatry krzepły,
ptaki zaczęły płońać,
wielkie łodzie pękały jak miazdżone orzechy
i zsuwała się ziemia ku domom.

Ptak uderzył o wodę, gdzie Odys
wracał wsparty plecami o maszt,
a już wtedy płonęła młodość
i żałosny lament wśród miast.

Wrzask obłoków krążył nad głową,
falowało powietrze, kamień,
bursztyn w rzęsach sosen pionowo
spadał hucząc i trawy łamał.

Więc zatrzymał struny i przez
wybrzeże szedł o wyspach śniąc foczych;
tylko wiatr grał na smyczy, gdy pies
jak ster prowadził mu oczy.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

METODA „ZŁOTEGO SZCZYTU”

(Głosy na temat „Uniwersalizmu”³⁾)

Niejasność otaczająca pojęcie Uniwersalizmu zmusza na wstępie od razu do dania podstawowych wyjaśnień. Czytelnik pyta zakłopotany, – czy to wszystko jedno, który uniwersalizm i czyj – ?

Nie, nie wszystko jedno.

Chodzi tu o uniwersalizm, będący „zarysem narodowej filozofii społecznej” – jak brzmi podtytuł, chodzi tu o ogarnięcie pełni związków, zachodzących między jednostką, narodem i ludzkością, o wyprowadzenie dla nich – praw. Praw – zaznaczywszy nawiasem – sięgających znacznie szerzej. Chodzi wreszcie o historyczne przeciwstawienie się dwóm masywom filozofii: indywidualizmowi (XIV-XIX w.) i totalizmowi (głównie XIX-XX wiek), masywom, które tak mocno i charakterystycznie ukształtowały oblicza społeczne epok i narodów.

Pamiętam rozmowę z jednym z wybitnych polskich intelektualistów. Z umysłem nastawionym na intelektualne rewelacje, wymyślającym współczesności za jej dziwaczność i zagadkowość, ale wyczekującym jednocześnie rzeczy dziwnych, zagadkowych i mogących zafascynować umysły.

Był akurat w trakcie lektury uniwersalizmu. Znać było irytację wywołaną rozczarowaniem. „Czym jest uniwersalizm? W czym tkwi potęga jego rewolucyjności – ? Ależ, nie... Jest tylko jakąś średnią arytmetyczną demokracji i totalizmu i koniec... Bierzecie trochę z jednego, trochę z drugiego i nazywacie to – uniwersalizmem.

I czekacie rewolucji.”

Istotnie uroki uniwersalizmu są trudne. Uroki, to znaczy: te wszystkie tajemniczości, te niespodzianki, i te niedokończenia, które snuć

można samemu. Dosnuwać ku zagadkowemu końcowi. Niemniej, uroki te są.

Myśl Europy współczesnej – od włoskiego renesansu po włoski faszyzm, czy rosyjski komunizm – nastawiona była na jeden typ myślenia. Różne mieściła treści i problemy. Formalnie posiadała, utrzymywała i rozwijała ten sam styl. Ten sam charakter.

Charakter myślenia biegunowego.

We wszystkim, wszędzie, zawsze jest tylko dwubiegunowość. Jeden biegun albo drugi. Tertium non datur⁴. To była podstawa myślenia, najgłębsza spośród wiar Europy porennesansowej. Logiczny aksjomat.

Stoi się na rozstajach, na rozwidleniu dwóch możliwości: jedna ukazuje biegun północy, druga – biegu południa.

W człowieku musi być widocznie coś podległego magnetycznym siłom biegunów. Bieguny przyciągają. Pytanie tylko, którego wpływom się poddać. Tertium non datur. Nie można nawet wyobrazić sobie, aby człowiek mógł dążyć gdzie indziej, żeby mógł wyznaczyć sobie jako cel, co innego, żeby mógł oprzeć się w swoich dążeniach magnetycznym, biegunowym sugestiom.

Typ myślenia biegunowego, istotnie, ma siłę sugestywną. Rozbudza w nas instynkt Amundsenów⁵, Wikingów, borealnych⁶ bohaterów. Myślenie to niesie w sobie zaród zagłady, niesie wizję kataklizmu, kryzysu, przełomu. Tym właśnie charaktery ludzkie kusi i porywa. Tym, że może rozpętać bohaterstwo intelektualne.

A jednocześnie budzi lekkomyślne zaufanie co do swej prostoty.

Z chwilą wyboru bieguna nie ma już wątpliwości: idzie się konsekwentnie, prosto, coraz dalej, coraz dalej... Aż do ostatecznej samozagłady.

Do bieguna, jak ćma do gorejącego i spalającego płomienia.

Jeżeli wybiera się indywidualizm, to mija się w swoim pochodzie i odrzuca się z początku wszelkie autorytety zewnętrzne: – społeczne, później autorytetu wewnętrzne: etyczne. Przekreśla się nadnaturalność wszelkiej etyki. Boga jako jej prawodawcę.

Sumienie staje się funkcją wartości praktycznych, życiowych, naturalnych.

W szczerości swojej mija się i to. Norma etyczna staje w sprzeczności z żywiołową agresywnością życia. Zaprzecza się wszelkiej normie. Jednostka decyduje się i świadomie określa: „Jestem poza dobrem i złem. Żyję poza obowiązkiem. Postępuję w życiu tak, jakbym znajdował się poza społeczeństwem.”

Wolność. Anarchizm. Myśl dociera do swego bieguna.

Anarchizm wali ustrój i filozofię, na której kwitł tak przepysznie, czarująco – indywidualizm.

Indywidualizm – dostaje się w niewolę totalizmu. Strącone w piekło, gdzie panują: płacz i zgrzytanie zębów. Dzwonienie łańcuchami wybija godzinę ostateczności...

Człowiek przeleciał nad biegunem i natychmiast zwał się ciężko w śmierć.

Myślenie uniwersalistyczne jest jednak czymś nowym i rewolucyjnym. I może posiadać swoje uroki. Filozofii biegunów – przeciwstawia się filozofię strefy życia. Filozofię operowania proporcjami.

I to nie jest bynajmniej taniutki stawianie na dwu walczących atletów, ze świadomością, że jak nie jeden – to drugi, ale zawsze któryś wygra – !

Nie jest to także branie trochę z demokracji i trochę z totalizmu i preparowanie z tego jakiegoś bezmyślnego, nieciekawego gulaszu.

Bo w uniwersalizmie jest właśnie nowość i jest rewolucyjność. Stawia się tu nie na obu jednocześnie z walczących atletów, ale na to co się między nimi rozgrywa, na samą walkę złożoną z wielu zasad, umiejętności i przepisów. Nie na demokrację i nie na totalizm, ale na te skomplikowane i trudne stosunki, jakie człowiek sam dla siebie, a samodzielnie, indywidualnie ustalić musi.

Filozofia bieguna szablonizuje człowieka. Narzuca mu proste może, ale i szablonowe, wydeptane przez innych drogi.

Uniwersalizm, – filozofia proporcji – daje każdemu z nas jego własne zdanie. Niekiedy trudne aż do rozpacz. Trzeba ustalić swój własny stosunek do obu biegunów, do biegunowo różnych wartości życia, znaleźć trzeba zawikłaną i dla nas tylko obowiązującą drogę. Drogę w klimacie życia a nie w klimacie bieguna i śmierci.

Całe to porównanie jest metaforą, wiem o tym. Ale metaforą chwytającą jednak różnice mechanizmu tych dwu różnych stylów myślenia; myślenia w kategoriach biegunów i instynktu, który każe ku nim nieustannie podążać, i myślenia zdobywającego sobie trudne, etyczne proporcje wobec wszystkich wartości krańcowych, myślenia szukającego swojej szerokości geograficznej w życiu kulturalnym, układającego sobie niebezpieczny i nieprzekazywalny, ale za to oryginalny, własny wzór.

Wzór na ład serca –!

Może się to niejednemu wydawać odgrzewaniem starych konceptów. Mówi się rzekomo o biegunach i Amundsenach kultury, o strefie życia i ładzie serca, – a w istocie chodzi o antykiem zatracającą radę. „Trzymaj się złotego środka – !”

„Trzymaj się złotego środka” – czyli służ jednocześnie dwóm bogom tak, aby się żadnemu z nich nie narazić, a jednocześnie służ im z odpowiedniego dystansu, na odległość większą, niż długość ich ramion. Tak aby cię żaden nie mógł dosięgnąć.

Taktyka przemykania się, kompromisu, unikania niebezpieczeństwa. Wykwit antycznego hedonizmu. Ozłacanie własnego życia wewnętrznego i własnej kultury blaskiem tego „złotego środka”.

Tak to wygląda na pozór.

Ale pozór ten jest jaskrawo błędny – !

Nie tam bowiem gdzie się jedną z dwu zasadniczych, choć różnych i mogących kolidować ze sobą sił naszych; nasz instynkt jednostkowy albo społeczny – przekreśla i niweczy, lecz tam właśnie, gdzie uznajemy konieczność obu – tam właśnie jest otwarte pole dla antagonizmów, dla dramatów i tragedii.

Tam jest możliwość burz wściekłych, przesileni i zmagani. Kultura uniwersalistyczna otwiera perspektywy ogromne.

Na biegunach kultury, w kulturach biegunowych czeka na człowieka – śmierć.

Prosta, gwałtowna, niezawikłana i beztragiczna – śmierć.

W kulturze uniwersalistycznej rozpina się przed nami urzekająca skala ludzkich dramatów i tragedii.

To z jednej strony! Ze strony tego, co człowiek zastaje. Co się przed nim otwiera.

A z drugiej strony, z punktu widzenia tego, co się ma osiągnąć: ogromne zadanie wdarcia się na szczyt. Poprzez walkę, dramat i szaleństwo – wdrzeć się w końcu na złoty szczyt. Nie podróżować łatwo i bezpiecznie autostradą złotego środka pomiędzy dwoma rowami z błotem.

Tego uniwersalizm nigdy nie uczył i dlatego nie jest ani hedonizmem, ani kompromisem, ani unikaniem niebezpieczeństw. Metoda jego nie jest o antyk zatracającą metodą „Trzymania się złotego środka”, lecz inaczej: – **M e t o d ą o s i ą g a n i a z ł o t e g o s z c z y t u !**

Na dnię indywidualizmu i totalizmu, jako systemów filozoficznych śpi, czyha – instynkt. Emocja. Są to systemy myślenia emocjonalnego.

Uniwersalizm bazuje na intelekcie. Wymaga najwyższej pracy, najofiarniejszego wysiłku, żeby jakoś ująć, uregulować, opanować intelektem żywioły kultury ludzkiej.

W tej atmosferze wznosi uniwersalizm swe tamy praw. Metafizyczny swój kodeks:

1. Całość istnieje jedynie w swych częściach.
2. Całość różni się formalnie od swych części.
3. Całość jest pierwsza od swych części.
4. Całość jest celem części.
5. Całość jest procesem członkowania.*

Uniwersalizm, a historia – ?

Pamiętam drugą, inną rozmowę o uniwersalizmie. Tym razem z historykiem kultury: „No, dobrze – wzór... ład... prawa... przecież to za mało dynamiczne, aby rewolucjonizować nimi rzeczywistość. Aby przekształcać kulturę. Jak on – on, tzn. uniwersalizm, czy też autor uniwersalizmu – to sobie wyobraża?

Nie wiem, jak on to sobie wyobraża. Daję tu tylko własny zarys konfliktu i własne oświecenie.

Uniwersalizm stwarza prawa, układa wzory, reguły dla naszych kulturalnych wartości. Ustala w sposób stanowczy. Na stałe. Raz na zawsze. Lecz nie oznacza to bynajmniej jakieś ideału martwoty,

znieruchomienia, statyki. Bo jednocześnie, czy wcześniej nawet, otwiera się przed człowiekiem żyźne pole możliwości, porywające perspektywy konfliktu, dramatu, etycznego rozdarcia.

Każdy musi w ramach tych możliwości na własną rękę, samodzielnie, osobiście do tych praw ostatecznych uniwersalizmu – dorastać. Każdy musi prawa te dla siebie zdobyć. W sobie zaprowadzać. Ustalać ów ład serca, serca, które symbolizowałoby swoim nieustającym biciem – bicie świeżych, krystalicznych źródeł kultury.

Są oto zadania – ! Cel pracy. Imperatyw oryginalnego, celowego tworzenia.

Ale wszystko to można widzieć inaczej.

Jak okiem sięgnąć – kultury zawsze miały swoich wielkich wychowawców, lub więcej nawet – swoje elity wychowawcze. Elity narzucające całej kulturze swój styl życia, swoje kierunki dążeń, swoją intuicję historii.

Wychowawcy ci, realizując historię, stwarzając nurty historyczne i trakty, nie mogli się przeciw ludzi (mając intuicję historii), że coś się w tej historii raz na zawsze osiągnie. Jakieś trwałe, przedmiotowe zdobycze. Jakieś nienaruszalne wartości.

Prawdziwi, wielcy wychowawcy przeprowadzając swoją epokę, czy swój naród przez wielką historię – mają, muszą mieć cel jeden: wychować w ten sposób, ukuć tą metodą charakter swojej epoki, czy swojego narodu.

A te zewnętrzne, w hasłach politycznych, naukowych, artystycznych skonkretyzowane cele – to tylko symbole. To tylko fatamorgany celów.

Celem rzeczywistym jest wieść, prowadzić, pociągać za sobą przez coraz to trudniejszą i większą historię swój naród, czy epokę.

* Cytuję tu jedynie tzw. prawa całości, będące fragmentem pracy o uniwersalizmie.

To istota wielkiego wychowawcy. I wielkości jego nie mierzy się absolutną wartością celów przez niego wskazywanych. Absolutną wartością ma być i jest jedynie wynik wychowania: wyhartowanie ostateczne charakteru. Wszystko poza tym, to środki. Próba rozpalania i nagłego studzenia, ognia i wody – które – hartują. Wartość przedmiotowych celów, wskazywanych przez wychowawców, zależy od tego, czy cele te spełniają potrzeby danego momentu historii. Czy są ogniem wtedy, kiedy konieczny ogień, i wodą zimną, kiedy potrzebna woda.

W tej chwili, w tej fazie wychowania – tylko to, a nie inne rozwiązanie. Jako kontrreakcja, jako bunt, jako tęsknota i upragnienie.

Przy ocenie celów przedmiotowych obowiązuje tylko jedna absolutność: absolutna zgoda z tokiem historii, z jej konsekwencją i jej nakazami.

A dopiero ponad tym, jako ostateczny, gorejący jeszcze rezultat historii, można stawiać charakter ukształtowanej, czy wykutej przez swą historię – kultury. Człowieka tej kultury.

Dopiero tam otwiera się wieczność...

Uniwersalizm, tymczasem nie sprzyja wytwarzaniu się tych intersubiektywnych, ponad-jednostkowych już, ale nieobiektywnych, niewiecznych jeszcze ruchów i prądów kultury.

Ruch jest w nim jeden: pomiędzy jednostką o przerażającej możliwości dróg i rozwiązań, a światem wartości trwałych, obiektywnych. Wiecznych.

Człowiek indywidualnie dorastający do praw wieczności i Boga. I to wszystko. Koniec.

Na historię zabrakło miejsca.

„Co zrobicie z historią – pyta historyk kultury – z tym gigantycznym, pozornie cynicznym może nawet wychowawcą, który wie jednak, że choć każdy z celów przez niego wytkniętych jest czymś względnym i fatamorganą, to jednak ta tylko pozostaje człowiekowi droga: poprzez fatamorganę i względnosc – jeśli chce on wejść do królestwa kultury wiecznej”.

Tak oto rysuje się kolizja między uniwersalizmem a historią, w moim oświeceniu. Kolizja i brak odpowiedzi.

Bo czyż zdecydować się na odpowiedź, że uniwersalizm – to także tylko jedno z ogniw w ogromnym łańcuchu naszej historii! Jedna z jej perypetii!

Posiadająca wartość absolutną o tyle, że jest prawdą momentu dziejowego, momentu w którym po pięciu wiekach indywidualizmu i dwu wiekach totalizmu musi zajść jakaś zmiana. Nieprzeczuwany zwrot. Rewolucja istotnie rewolucyjna.

Zamiast myślenia biegunowego – myślenie proporcjami.

Zamiast busoli – jakiegoś Besarda – wzór: cudowna recepta na ład serca...

I tego właśnie: stosunku uniwersalizmu do historii nie umiem rozwiązać, ani rozciąć... Obie możliwe odpowiedzi kończą się znakiem zapytania.

– Nie wiem.

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

WARSZAWA

Wieczność pouczipiana do dalekich galaktyk nawisa niezdarnie i hałasuje potykając się o stopy żelaznych rupieci.

Za widnokreplem ulic, z barykad dawno już usuniętych łopocze krzyk.

I zagnieżdżony w odrapanych murach czyha, by zahaczyć przechodzących świętych.

Ojczyzna zbiegła się tu z wyrąbanych lasów – przemyka się z bramy do bramy nieustająca i twarda, chwyta drapieżnymi pazurami za serce i tarnosi jak pies.

A potem pośród cuchnących rynsztoków wychudła i źle ukarminowana śmieje się drwiąco i kopie w twarze klęczących co bliżej.

Ubrani w połyski słońca jak w pióra wyjdą rano przygarbieni stróże wielkimi postrzępionymi miotłami zamiatać płacz, który zebrał się przez noc i zalega ulicę grupą warstwą.

Jak przekupki układają przed sobą piramidy słów zachwalających kartofle wyrosłe na grobach –

Wtedy dusza miasta przesuwa się zwolna ulicami wiosłując nonszalancko pletwiastym ogonem po asfalcie.

Odbicie jej twarzy za trudnej do zrozumienia zostało na wykrzywionych pyskach ruin, jak na chuście św.

Weroniki. A ci co przyjdą kiedyś – kiedyś i będą chcieli je odczytać wodząc wielkimi czarnymi rękami po rysach naciągniętych jak struny, i nieuważnymi palcami będą potracali jęk zaschły w szczelinach –

 czy uciekną z krzykiem przenikliwym

 czy tylko zaśmieją się głupowato –

A dzisiaj skupione lemury z gotyckich świątyń obsiadły dachy tramwajów i straszą urzędników ubezpieczalni wracających do domu.

Pod płytami trotuarów snują się umarli i tętnią w puklerze dające głuchy odgłos, a wieczorem w szpalerach szeptów chodzą pod rękę z żywymi i odróżnić ich można tylko po skrzydłach zręcznie złożonych, które im jednak odstają na plecach jak garby.

Ale za dnia warczą olbrzymie kamienne kołowroty i jedynie koło południa, gdy ludziska zasiądą do obiadu i robi się stosunkowo cicho –

 słysząc wyraźniej ciężki skrzypiący krok podkutych

 butów Boga.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

TWARZĄ W NOC

(fragment opowiadania)

Kiedy ten pierwszy złopiący sobie w nocy drogę świst minął ich dom – poznali. Niemcy sprowadzili artylerię. Sterowi serce waliło boleśnie, nie mógł wydławić słowa, choć wiedział, że teraz jest potrzebne, że tych czterech czeka na nie, na zdawkowe, puste nawet słowo. Należałoby powiedzieć na przykład:

– Dopiero? – lub: – Nie taki diabeł straszny... albo krótko: artyleria!

Gwizdnąć przeciągle – ostatecznie. Wyręczono go:

– Szwabę się zniecierpliwili – chcą nas wykurzyć!

Kto to powiedział? Winter. Najcichszy, najspokojniejszy z nich wszystkich. Ster przypomniał sobie głupio, jak przyłapał go na korytarzu zapatrzonego w małą fotografię. Narzeczona pewnie.

– Jakoś ucichli. – poznał Dembowskiego.

– Ale! Słyszysz?

Następny huczący pocisk przedzierał się przez nocne powietrze. Tak. Zaczęło się. Poprzednie noce dziurawione salwami, kłute błyskami rac – minęły jak sen. Teraz stała za oknami noc nowa, w której rozstrzygnie się.

Załoga Stera kierowała lufy w domniemane twarze ludzi, pragnących jej śmierci. Ster zasiadł do „fortepianu”. Zasiadł, gdyż za krzesło służył mu własny hełm. Ujął rączki maxima. Daleko migotał drobne płomyki ognia. Szły wzdłuż całej linii – nieregularne ale częste. To lufy Niemców skupiały się na ich ruderze. Artyleria nie umilkła. Co kilkanaście sekund szedł przez powietrze wyjący obły kształt żelaza. Nie trafiali na szczęście.

Ster wolno, wolno przesuwiał lufę od lewej do prawej od prawej do lewej. Uczynność ta nie pochłaniała go całkowicie. Przyzwyczał się. O ile w pierwszych nocach strzelanina nie pozwoliła mu na jedną oderwaną od tej czynności myśli, o tyle teraz – myślenie nie przeszkadzało mu w automatycznej pracy rąk i oczu. Podchorąży dławił w sobie ciągle natarczywiejącą wątpliwość. Uczucie podobne do tego, które obezwładniało go już od wewnątrz nie bólem fizycznym, nie cierpieniem moralnym zbudziło się w nim ze skurczem strachu, czy przecucia, gdy odezwała się artyleria. Wątpliwość szturmowała ostrożnie, kryjąc się podstępnie w zaułkach świadomości. Ster bał się wywlec ją z mózgu, przyoblec w prostą formę słowną, bo wiedział...

Terkotały zawzięcie karabiny. Wycie artylerii odbzmiewało podziemnym wstrząsem. Szybciej przesuwiał lufę. Więc – co?

Bał się, że zaczajona w zwojach mózgu wypromieniuje, pochwyci tamtych, no, wstydził się podskórnie, bo gdyby oni... Winter, Gołąbek, Dembowski, Gałuszka – poznali, że... no, że co?

Zagryzł wargi do bólu. Szybciej manewrował lufą. Więc, że... co?

Znowu ten straszny skowyt żelaza. Działa pokasływały miarowo, wyrzucając swój ładunek coraz bliżej, celniej.

Raca. Spojrzał przelotnie w lewo. Zajęci byli. Po automatycznych, precyzyjnych ruchach rąk nie mógł poznać, czy oni m y ś l ą !

To stwierdzenie przeraziło go. Tak – przestać myśleć. Przecież to śmieszne. Nienaturalne. W każdej chwili... O, jest. To właśnie że... w każdej

chwili. Więc? Boję się – przestał walczyć ze sobą. Po prostu – boję się!

Tylko nie zarazić tamtych, spokojnych, precyzyjnych, odważnych. O d w a ż n y c h !

Przecież nie jestem tchórzem? Strzelam, jestem dowódcą – ratował się.

Strzelał.

– Panie podchorąży! Dobrze idzie co? – Dembowski.

Nie zdążył odpowiedzieć. Tym razem nie słyszeli świstu. Frontowa ściana domu zafalowała, na głowy spadać zaczęły kawały gruzu i wapna. Ostry gruboziarnisty pył zasłał pokój. Ster instynktownie zakrył głowę rękami. Przymknął oczy i czekał w jakimś przykrym napięciu mięśni na uderzenie spadających cegieł. Minęła tak minuta może. Szmer okruchów wapiennych sypał się jeszcze z góry, ale już było po wszystkim.

Poprawił maxima, który dostał kawałkiem cegły w statyw i przechylił się.

– Jak u was – w porządku? głos mu się rwał, musiał go zbierać całą siłą woli.

– Wszystko w porządku – panie podchorąży – Winter trochę w łeb oberwał!

– I mnie przycisło – w palec zaręczynowy – dorzucił Gołąbek.

– W takim razie – ognia!

Wrócili do roboty.

– To ci trafny! – Dembowski przytulił się do kolby niecierpliwie.

Trudno było rozmawiać. Znowu grzechot salw. Artyleria jakby zadowolona z sukcesu szanowała się. Przenosiła. CKMy za to grzały bez przerwy.

Podchorąży założył hełm. Miał nauczkę. Zacisnął dłonie na rączkach „staruszka” i ze ściśniętymi zębami patrzył za skłonem lufy. Drżał cały. Na próżno usiłował oszukać się zapałem, z jakim tropił wroga w nieodgadnionej ciemności wylotem swej broni. Bebechy latały w nim jak

w pustym pęcherzu. I znowu przywarła do mózgu potężniejąca w pewnik myśl.

– Boję się – tchórz – obrażał się. Podświadomie wyczekiwał na reakcję podrażnionej ambicji. Że się złamie w nim coś, zapadnie stwardnienie – i powie NIE!

Z góry z ciepłego powietrza przedarł się nikły, charakterystyczny brzęk.

Samolot? Kiedy mrużenie motorów zbliżyło się, przez trzask karabinowy można było określić ich liczbę. Eskadra. To nie było przyjemne. W nocy?

Artyleria przypominała się. Dwie zielone race plusnęły fantastycznie wlokąc za sobą tren z isker. Daleko, daleko głuchy łoskot. Raz, dwa, trzy...

Za chwilę kilka łun wiało nad kominami miasta.

– Jezu! – pod lewym oknem zakotłowało się.

– Co jest?

– Panie podchorąży – Gałuszka dostał!

Ster nie ruszał się. Puścił maxima. TERAZ się zaczęło. Nie przedtem. Teraz.

Było mu źle – tak jest źle, gdy boli żołądek lub ząb. Przemógł się.

Nogi miał wiotkie, gumowe. Przypomniał sobie o oknie. Opuścił się na kolana.

Dotarł do nich w ten sposób.

Gałuszka trzymał się za prawy obojczyk rozczapierzoną dłonią.

Krew spływała przez mundur cienkimi strużkami. W mroku – była czarna. Ranny pojękiwał jakoś dziwacznie, rytmicznie.

– Jesteście ranni? Ster zapytał bez sensu.

Jałuszka wskazał brodą –

– Tu! – szepnął.

Podchorąży nie wiedział co robić. Miał próżnię w głowie. Nogi latały pod nim. T e g o było dosyć. Dosyć. Dosyć! Przecież o to chodziło cały czas, gdy tam nad CKM-em siepał się z sobą: miał dosyć!

Wojnę wyobrażał sobie inaczej. Bardziej malarsko – nie malowniczo – o, na to nie można

narzekać, kolory za oknem mnożyły się, ale malarsko – to znaczy szerzej, z jakimś polem bitwy, atakiem, okrzykiem hurra, gdzie leci się kupą śmiało, na zaczajonego w okopie wroga. Tak mniej więcej wyglądały manewry pod Rembertowem.

Ranny zajęczał głośniej. Koledzy jego strzelali nie interesując się nim więcej.

– Winter opatrz Gałuszkę – ja muszę do CKM-u.

Powlókł się z powrotem. Raz, dwa, trzy – suche uderzenie podchodziły aż tutaj.

Niebo wibrowało w ruchomych wieżach ogniach.

Kiedy wyciągał ręce do uchwytu maxima – nowy wstrząs zachwiał ścianami.

Trochę tynku odpadło z sufitu, pocisk uderzył wysoko, prawdopodobnie w dach.

Ster skulił się za maszynką. Uniósł ramiona, aż oparła się na nich fałda hełmu w ciągłym oczekiwaniu na uderzenie nieoczekiwane i podstępne. Gałuszka siadł gdzieś w kącie i stamtąd dochodziły jego ciche pojękiwania. Rana była bolesna. Denerwowało to podchorążego. Głos rannego działał na niego, jak działał w domu rodzinnym zgrzyt noża po talerzu.

Chciał krzyknąć – Gałuszka zamknij mordę – ale zorientował się, że byłoby to chamskie, ordynarne. Przerzywanie salwy maxima uspakajały go. Złość, zwyczajna ludzka złość za to, że musiał tu tkwić i strzelać, za to, że wytrącono go z normalnego, naiwnie-beztroskiego życia – złość ta podsunęła na moment groźną świadomość własnej nikczemności. To Niemcy – tam! – uprzytomnił sobie i przywarł do rozgrzanego żelaza. Gałuszka sapał, chwilami jęczał głośno.

Artyleria dudniła ciężko. Linia CKM-ów nieprzyjacielskich przybliżyła się.

Ich ogień tłukł po ścianach domu, coraz częściej wpadał do izby.

– Cholera!

Pod oknem zakotłowało się znowu. Nikt po tym krzyku nie wydał głosu. Podchorąży spocił się pod hełmem. Przyczołgał się do nich.

Gołąbek leżał sztywno, oparty lewą skronią o parapet okna. Dembowski i Winter patrzyli na niego nie czyniąc ruchu. Podchorąży czuł serce w gardle.

Bezwład posunął się z nóg wyżej, docierał do poziomu piersi.

Ster dotknął leżącego. Szeptem:

– Co wam Gołąbek – ranni jesteście? – Znowu; głupio i niepotrzebnie.

Winter i Dembowski ośmielili się. Gruby nos socjalisty musnął niemal twarz żołnierza.

– On ma dosyć – kula w usta!

Szorstko odwrócił ciało. Z rozchylonych bezwładnie warg sączyła się brudna w ciemności krew. Gdy przechylili głowę martwego – z ust posypało się kilka wybitych zębów. Kropla krwi sparzyła opuszczoną rękę podchorążego.

Skorzystał i teraz z funkcji dowódcy:

– Odciągnąć go na bok. I strzelać, bo...

Chciał powiedzieć: ... bo nas tu wybijają, – ale zatrzymał się. Czy nie byłoby to odkryciem tajonej myśli?

Wracając na czworakach na swe miejsce widział jak skulony Dembowski wlecze zmarłego za nogę w stronę obojętnego na wszystko Gałuszki. Głowa zabitego stuknęła hełmem o podłogę, aż wreszcie uspokoiła się przekrzywiona karykaturalnie jak głowa lalki.

Ster nie miał ochoty strzelać. Dopadła go apatia, obojętność. Śmierć? – Głupstwo.

Straszne usta Gołąbka stanęły mu przed oczami. Brrr!

Dembowski i Winter już bili zaciekle, mściwie. Pomniejszony o dwie lufy trzask broni zdradzał ich podwójnie: przed nieprzyjacielem, posuwającym się coraz widoczniej i przed własną świadomością,

że jest ich tylko trzech. Podchorąży nie wiedział kiedy oświeciła go ta myśl.

Przecież za nimi jest jeszcze miasto, wolne, rozległe, gdzie można się skryć przed okropnym wyciem artylerii i cieniłego głosu karabinowych kul. Ze szczęściem, z uniesieniem, kołysał w sobie tę objawioną najlepszą prawdę.

Przecież wystarczy jego, j e g o rozkaz, a wyjdą stąd cali.

„W żadnym wypadku placówki opuścić nie możecie. Nie znaczy to, że jesteście skazani na zatrącenie, nie będziemy o was pamiętać!”

Głupstwo. Czy to ważne wobec tej jednej, jedynej wartości...

Życie! Nie pocałuję nigdy dziewczyny – przemknęło mu niedorzecznie. I;

„Wierzę w Pański charakter panie podchorąży”

I czy to ważne? Czyjaś tam wiara!

– Zresztą ten człowiek zginie – prawdopodobnie...

Ster zląkł się. Tym przypuszczeniem wykazał całą swą podłość, tchórzostwo. Gorzej: niewiarę w zwycięstwo.

– No więc co z tego, co? – Ręce wbijał w drewniany uchwyt broni

– Jestem, j e s t e m tchórzem!

– Panie podchorąży, panie podchorąży – z kąta wołał Gałuszka

– Co tam?!

– Ja już nie mogę, ja już nie wytrzymam tego bólu – oooo – zawył – dobijajcie mnie koledzy, dobijajcie!

– Poczekajcie jeszcze, jak tylko... zaczął Ster.

– Czołgi! – Dembowski darł się z pod okna – Czołgi puścili! Cholery

– Dobijcie mnie, ja już... panie podchorąży...

– Zamknij pysk – pogroził pięścią nie odwracając się Winter.

Podchorąży wyteżył wzrok. Małe, pękate pudełka kołysząc się jak kaczki podchodziły z dwu stron. Zielona raca na moment oświeciła ich ciemne złowrogie sylwetki i zdradziła posuwająca się za maszynami piechotę nieprzyjacielską.

Ster czuł idący od stóp do góry dreszcz ciała. Brakło mu tchu. Te skurczone, drapieżne, czyhające na niego postacie ludzkie odebrały mu już resztę nadziei.

Nie strzelał.

– Teraz lub nigdy – zdecydował.

– Dembowski! Winter! Bierzcie...

– Dobrze jest panie podchorąży! Jak będą bliżej – to im łupnia!

Pe panc mamy – no nie?

Ster nie kończył. T e r a z już n a p r a w d ę stracił nadzieję.

Odpowiedź Dembowskiego uderzyła go jak silna pięść. Powiedzieć – im!

Zostawić ich – kiedy chcą to... chyłkiem, nawet nie spostrzegą! – drżał.

Pot lał się z niego a było mu zimno przeraźliwie.

Tylko Gałuszka domyślił się właściwego sensu niedokończonego zdania dowódcy.

– Panie podchorąży, tu – śmierć. Czołgi! My już swoje...

Ster spojrział w pełznącą tuż, skrzywioną bólem twarz. Winter i Dembowski gwarzyli do siebie półgłosem i szykowali broń.

– Panie podchorąży – uciekajmy!

Podchorąży Ster zniżył głowę. Znowu ten ospowaty bolesny psi pysk.

– Panie podchorąży... szept stawał się natarczywy, półrozkazujący.

Młody zobaczył rękę sięgającą ku niemu gestem błagalnym.

Ten gest jakby go wtrącił w inny wymiar, gdzie prawda staje się jasna i prosta. Gniew

rekompensujący tamto wszystko, co podłe, nikczemne, dusił go – nie pozwalał mówić. Zdławił bulgot bezwładnych rwących się słów.

– Ty draniu, ty draniu – milcz. Tu masz zdychać! Tu – piał prawie.

Ręka Gałuszki niezdarnie zaplątała się koło pasa. Ster uprzedził go.

Przesunął się do tyłu i całą siłą wyprostowanej nagle nogi ugodził w tę proszącą pełznącą nisko twarz.

– Draniu – rzucił w stronę skulonego ciała – drgającego z bólu.

Winter i Dembowski nie widzieli tej sceny. Zbyt zajęci byli śledzeniem zdradliwych pudełek,

w których zamknięci ludzie szli po ich życie. Ster spokojny, prawie poważny, tą samą powagą, jaką miał w sobie, gdy stał na czele szkolnej drużyny sportowej – wrócił do obrony. Czołgi warcząc zębatymi gąsienicami podjeżdżały bliżej, ruchliwymi lufami wieżyczek węszyły złowieszczo. Kiedy najbliższy plunął po ścianie prymitywnego bunkra, Ster w zwężonych uwagą oczach zatrzymał na sekundę obraz kolorowych pleców matki, niksujących w głębi mieszkania na zielonej, cichej prowincji.

Roman Oścień [Tadeusz Gajcy]

Z PODZIEMNEGO TEATRZYKU

POLITYCZNA SZOPKA KUKIELKOWA

Pierwszą oznaką reakcji ciemzonego ludu jest śmiech!

Oto prawda sformułowana w czasach poprzedzających rewolucję francuską i wiecznie aktualna. Ciemzone społeczeństwo czeka zawsze na możliwość reakcji. Brak mu tylko odpowiednich okoliczności i – siły. Śmiech – zdrowa, – wesoła pogarda dla ciemniźcyela – to pierwsza oznaka siły ciemzonego

Że powstał konspiracyjny polityczny teatrzyk kukielkowy – to nie przypadek. Nasze nastawienie wewnętrzne dojrzało do takiej imprezy. Przyjeliśmy ją z całą naturalnością. To ważne.

Przede wszystkim rzuca się w oczy wyposażenie techniczne teatrzyku. Smacznie urządzona scenka, z autonomicznym oświetleniem i doskonale kukły poruszane dowcipne w zharmonizowaniu z recytacją.

Przedstawienie, które oglądaliśmy miało 3 części:

Pierwsza pt. „Wytrwać” – najsłabsza. Mniejsza już o nienowe dowcipy. Bardziej razi fałszywy ton tendencyjnej zaślepionej aż upokarzającej wiary we wszechmoc aliantów. „Da im Anglia szczerze granicę na Odrze” – wierzy niefrasobliwie kukielka Sikorskiego.

W dwóch pozostałych częściach – („Ulica” i „Jasełka”) jest już ton apelowania przede wszystkim do własnych sił i trzeźwiejszego, choć przyjaznego oceniania sprzymierzeńców.

Tematyka różna: część pierwsza jest rewią wielkich polityków, druga – soczystych typków warszawskich. Część trzecia – najlepsza, to tradycyjna opowieść jasełkowa. Tyle tylko, że... do szopki idą szmuglerzy i dzieci z zamojszczyzny.

Król Herod to Hitler. Trzej królowie: Roosevelt, Churchill i Sikorski.

Co najistotniejsze: teatrzyk kukiełkowy miał ambicję wyjścia poza tendencję i dania intersującego (tak!) wrażenia estetycznego. Scena rytmicznie skandowanego, powolnego marszu trzech „króli”, gdzie „król” Sikorski ciągle przyspiesza, lecz jest uspokajany przez pozostałych i w rezultacie pochód staje się jeszcze bardziej powolny i jeszcze mocniej skandowany – to scena dająca widzowi całkowite zadowolenie estetyczne przez efektowne wyzyskanie praw danego gatunku artystycznego. Przy okazji przypomina nam się, że Peiper radził wszelkie

eksperymenty teatralne próbować najpierw w teatrzyku kukiełkowym. Wspomniany tu eksperyment należy do całkowicie udanych.

Recytacje pozostawiały nieco do życzenia. Wykonawcy nie byli ze sobą jeszcze zupełnie zgrani. Wyróżniał się charakterystycznie ustawionym głosem wykonawca roli Stalina.

P.S. Tekst szopki ukazał się w druku. (Niestety bez najlepszej trzeciej części!) Wyraźne aluzje do „doświadczeń” zawarte w przedmowie upoważniają nas do głoszenia recenzji.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

OBRAZEK

Duży niezgrabny chłopak ogląda zdjęcia gór ośnieżonych i ostrych oprawne w ramki jego kwadratowych paznokci.

Krowa wpozowana w osty zaraz ryknie melodyjnie a wtedy na drodze sterczącej pionowo jak ściana zacznie spadać perełkowaty turkot udrapowany kurzem i lipami.

Mimo to kilka pretensjonalnie białych bocianów suszy na wzgórkach przemoczone nogi i uśmiecha się niezdecydowanie.

Polerowały nieboskłon kołysz się jak gliniany garnek nadziany na płot.

Prócz tego kilkoro niedbale połoconych dzieci patrzy na wiatr przez kolorowe szkiełka, a zdechła wrona zastanawia się nad źródłem ciszy.

Szkoda, że ten śliczny obrazek odkleił się jednym rgiem i ukazuje to co jest po za nim.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

LIRYKA PRZEŁOMU

Wydawało by się rzeczą oczywistą, że dziejąca się przed oczami apokalipsa zmieni i pogłębi nasz stosunek do sztuki. W żarze dokonujących się przemian oczekujemy na dzieła będące sądem nad rzeczywistością, odkrywające jej sens i wyrażające jej dziwną potęgę.

Nie daje nam tego poezja wojenna, której już szóstą antologię mamy w tej chwili przed sobą*. Może jest to zresztą właściwością liryki w ogóle, że ucisza, ogranicza, czyni bardziej intymnymi sprawy, o których mówi. Stwarza ona, nawet dla rzeczy tak niezwykłych, utarte i narzucające się formy wyrażania: impresje osobiste malujące przeżycia czułych poetów na marginesie wydarzeń, kiedy indziej znów roztopione w patriotycznej frazeologii wiersze „o tematyce wojennej”.

Najwięcej też utworów tego typu spotykamy w omawianej antologii. W postawie jej autorów razi jednolitość, a więc niesamodzielnosc nurtu myślowego, zamknięcie się w pewnych formach odczuwania, brak świeżości wobec zjawisk tak przecież niezwykłych.

Od tej szarzyzny odbija swoją postawą szereg utworów. Myślę tu przede wszystkim o takich jak: „Wczorajszemu” i „Ranny różą”.

W wierszach panuje ton poważnego smutku i zmęczenia. A jednak istnieje głęboko ujmujący nurt w postawie poetów: to optymizm

przenikający ich twórczość. Optymizm, płynący nie ze zdawkowej buńczuczności, ale z trudnej i wymagającej wysiłku wiary w ostateczne zwycięstwo prawdy.

Na tę właśnie postawę zwraca głównie uwagę inteligentna przedmowa poprzedzająca antologię. Wiersze zawarte tam mają być „słowem prawdziwym”, prawdziwą poezją. Na tę nazwę zasługuje istotnie tylko poezja afirmacji życia.

Formalnie zbiorek jest bardzo niejednorodny. Obok wierszy wyrafinowanych artystycznie, zaraz na następnej stronie, spotykamy przygnębiające wprost łatwizny i banalności. Jaki sens ma mieszanie utworów o tak nierównej randze literackiej? Czy czytelnik, do którego potrafi przemówić np. „Szarża pod Kutnem” zdoła doczytać do końca „Ród Anhellich”? i odwrotnie? Jak zareaguje czytelnik „Hymnu do nocy” na iłłakowiczenie „Matki Boskiej Wojennej”?

Za najwybitniejsze pozycje tomu uznać trzeba: „Paprocie” (artyzm w operowaniu pointą), „Z wierszy średniowiecznych” (osiągnięcie życiowej wymowy artystycznej poprzez archaiczną stylizację), „Z dna” (subtelna rytmika w pełnych delikatności strofach w odniesieniu do potężnego tematu inwokacji do Boga daje przejmujący efekt poetycki), „List do matki” (ujmujący szczerością przeżycia lirycznego), „Ranny różą” (nasylenie liryzmem języka prozy i uczynienie zeń narzędzia poetyckiego).

Obszernie reprezentowany jest dział wierszy

* „Słowo prawdziwe”, Warszawa, 1942, str. 84.

tzw. patriotycznych, utylitarnych, które rezygnując z efektu artystycznego, starają się o przekonywujący bezpośrednio czytelnika wyraz propagandowy. Na przykładzie materiału zebranego w antologii widać, jak trudno o dobry wiersz tego rodzaju. Bardzo ładny w pomyśle „Czwarty grudnia” roztapia się w werbalizmie zakończenia. „Nasza śmierć” kładą rażące potknięcia stylistyczne. Najlepsza jest tu chyba „Piosenka”, utrzymana w tonie pogodnej junackości.

W rezultacie: większość wad „Słowa Prawdziwego” to wady samej liryki współczesnej raczej niż wady układu redakcyjnego.

W sumie „Słowo Prawdziwe” jest ciekawym wydarzeniem literackim i najwybitniejszą obok „Pieśni Niepodległej” publikacji tego rodzaju.

P.S. Osiemdziesięcioczworo-stronicowy tomik pięknie wydany na papierze kredowym. W celach konspiracyjnych dano umyślnie krzykliwość, kolorową okładkę, żeby mogła do złudzenia przypominać romans pani Mniszkówny.

Juliusz Oborski [Stanisław Marczak]

POEZJA KRASNEJ FUFAJKI*

Mała obskurna klitka. Maszyna drukarska. Dwóch ludzi pochylonych nad kasztami. Obok na jakimś stole RKM, pistolet automatyczny, granaty. Dwaj ludzie pracują spokojnie, sprawnie. Z takim samym spokojem i sprawnością dotkną korby maszyny drukarskiej i języczka spustowego RKM-u. Dwóm ludziom powiedziano: praca wasza jest warta waszego życia. To są słowa proste

i wystarczające. Rozumieją je dwaj ludzie schyleni nad kasztami.

Składają słowa wstępne od wydawcy do czytelnika antologii poetyckiej:

„... Jeżeli jesteś niewrażliwy na poezję, oddaj zbiorek w inne ręce. Niech krąży odpisywany i czytany jak najszerzej, bo wiersze te to nasiona mocy i dumy, młodości i sprawiedliwej zemsty”.

Na okładce będzie polski orzeł, ręka z mieczem przecinającym symboliczne łańcuchy niewoli. Wszystko to okolone liśćmi wawrzynu. Wewnątrz patetyczny cytat z „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa”.

No i wreszcie po tym wszystkim idą wiersze. Takie:

„... już walczyć będę z przemocą nikczemną.
Łączność, kolportaż albo sabotaż od razu,
A me zadania rosnać będą ze mną”

Albo:

„Żołnierze, dzieci Bellony
W śmiertelne boje idący,
Sroźcie się, jako lwy!”

I wreszcie:

„A naprzeciwko ci z potwornej bajki...
Głaszcząc broń polską, gładząc polski strój (?)
Fifają sobie na krasne fufajki (?)
Na koszmar wspomnień lejąc czystej zdroj!”
(?!)

W drugim zbiorze poezji skandaliczne kwiatuszki nabierają ostrzejszej woni. Więc taka np. „stylizacja”:

„Abychmy się z drzemoty nie mieli wstrząsnąć
do dna,
Ażby po wiecze walna oplotła nas rozślawa”.

* „Werble Wolności” zeszyt 2. Warszawa, styczeń 1943. Wydawnictwo KOPRu. Str.8

„Wiatr Wolności” Warszawa 1942. Wydawnictwo „Zrywu”. Redaktor i wydawca: Krzysztof Czarowic. Str.7

Lub wreszcie próbka „pornografii podziemnej”:

„Wiem – już niedługo eksplozją wytryśnie
wolność z podziemi
I w bój mnie porwie śmiertelny groźnym
sztandarów łopotem,
Lecz dziś jest nasze. Ustami gorejącymi
Rozkołysz wargi moje oddechem pieśnyczoty.”

Ten zbiór mający na okładce rysunek karabinu – tak się sam reklamuje: „Wiele utworów brzmi, jak pobudka, jak surma bojowa wzywająca do bitwy... Niech więc „Wiatr Wolności” ... podsyci zarzewie buntu...”

No, tak. Obejrzymy jeszcze raz patetyczne okładki. Przeczytajmy jeszcze raz diapazonowe wstępy. Spójrzmy na twarze dwóch ludzi gotowych za swoją pracę powierzoną im żołnierskim rozkazem – oddać życie. I zestawy to wszystko z „poetycką” zawartością obu zbiorów...

Sprawa urasta do rozmiarów tragicznego nieporozumienia.

Tego rodzaju przedsięwzięcia wydawnicze nie są przecież kierowane względami dochodowymi. Kieruje nimi szczery zapał i dobra wola ludzi, którzy mają najlepsze zamiary a brak im zaledwie – kompetencji.

Wiersze te są w większości (pomijając niektóre przedwojenne przedruki) „dziełami” szlachetnych, bezimiennych grafomanów (często damskich), którzy chcieliby jakoś „przysłużyć się sprawie”, „porwać do czynu”, „obudzić świadomość” i jeszcze kilka innych takich rzeczy.

Więc nie ma w tym złej woli. Jest tylko brak rozsądku.

Mój Boże! Czyż naprawdę któryś z was, pp. wydawcy, spodziewa się, że zajdzie taki wypadek, żeby ktoś dekujący się w jakimś ciepłym miejscu – dopiero po przeczytaniu „poetyckiego” wezwania

w rodzaju przytoczonego już „Sróćcie się jak lwy” – rzeczywiście zaczął się srożyć? Prawdopodobnie nie.

Oba tomiki są odbite w wielu tysiącach egzemplarzy. Rozejdą się wszystkie. Zostaną rozchwywane przede wszystkim przez „niewrażliwych na poezję” a więc przez tych, do których nie są one adresowane. Tak już jest. Czasy są szczególne. Ludzie, którzy nigdy nie interesowali się polityką – teraz czytają niemal wszystkie 165 pism konspiracyjnych, politycznych, zawierających często obszerne a częściej także zawiłe traktaty polityczne. Zaś ludzie nigdy nie interesujący się poezją – czytają te rymowane artykułiki i anegdoty drukowane w tych antologiach. Czytelnik potoczny, przypadkowy, zostaje zawsze znęcony do utworu wspólnością przeżycia. Dziś jest tych czytelników tak wielu, bo wszyscy mamy wielkie wspólne przeżycie.

Ale tak jak zły artykuł polityczny obniża wartość polityki w ogóle, tak zły wiersz obniża wartość w ogóle poezji. Dla tego przypadkowego czytelnika oczywiście.

Potoczny czytelnik chce dziś poezji. Jest teraz właśnie rzadka okazja, żeby zmęczonemu wspólnością przeżycia dać rzetelną sztukę. Na pewno ją chwyci. Jeśli dostanie tylko łatwą składankę hasełek – nie będzie już szukał poezji, gdy magnes tematyczny straci kiedyś swą siłę.

Żołnierzowi jest potrzebny poeta. Jednak ma prawo publikowania się, narażając życie drukarzy tylko wtedy, gdy ma rzeczywiście coś do powiedzenia. Gdy tworzy żołnierzowi wizję czynu. Tej rzetelnej, twórczej wizji chce żołnierz – a nie upartego zachęcania go do srożenia się, lub tanich opowiadań o murowanym zwycięstwie, lub melodramatycznym poświęceniu.

Gdy czytamy:

„Wolni ludzie dzielnego narodu

Za drutami mrą Oświęcimia
Prawnukowie rycerzy, co padli

U bram Wiednia, w okopach Chocimia.”

– to doznajemy wówczas uczucia nagłego wstydu i wstrętu. Jest przepaść przeogromna między tym kataryniarskim liryczeniem, a wspaniałym heroizmem ludzi zamordowanych w Oświęcimiu. Jest ekshibicjonistyczny niesmak w tym braku odpowiedzialności za słowo. Ci rymujący pocziwcy zdają się wcale nie rozumieć, że poeta ma pracowity obowiązek organizowania swoich przeżyć, przetwarzania ich w ogromnym twórczym trudzie aż s t w o r z y c o ś . Że zwykłą nieuczciwością wobec swojego tematu jest dorabianie rymów „gazetkowym” artykułom.

Żołnierz chce poezji. Chce ją fasować jak chleb. Chce wizji swojego czynu. Chce słów nawet prostych, ale przeżytych i prawdziwych; nie wytartych. Chce wreszcie piosenki wojskowej – rodzaju sztuki nieodłącznie z nim związanego.

Natomiast wiersze wasze, panowie, są żołnierzowi dalekie i niepotrzebne. Są „fifaniem na krasną fufajkę”. Mówię to jako krytyk i jako żołnierz.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

NIE-DYPLMATYCZNA PLACÓWKA SOWIETÓW*

„Lewą marsz. Czasopismo literacko-społeczne” jest literackim tylko z imienia – wstępniaki i gros artykułów traktuje o polityce wyłącznie, a nawet jeśli pisze się o Broniewskim to nie jako o poecie a jako o komuniście. Podobnie recenzja z „Pieśni Niepodległej” pochwała jedynie Broniewskiego bo jedyny „swój”. Sytuacji nie zmienia obecność

banalnego „proletariacko-rewolucyjnego” wierszyka.

Ale przyjrzyjmy się zawartości, bo miejscami jest ciekawa, choć nie z literackiego punktu widzenia oczywiście.

Na ogół dostojne, sędziwe frazesy i cytaty z „Kapitału” przeplatają się wdzięcznie, ale czasem trafić można na prawdy zupełnie nowe, ba nawet rewelacyjne – np. „Wielki teoretyk proletariatu Lenin rzucił hasło samookreślenia narodów”.

Ale o co właściwie chodzi panom z „Lewą marsz”, dokąd ten marsz ma zaprowadzić, dowiadujemy się ze wstępniaka: „Klasa robotnicza nie miała innego wyjścia, jak tylko jak najsilniej poprzeć rządy krajów alianckich w walce z państwami osi. Chwilowa dezorientacja, wywołana zawartym w przededniu wybuchu wojny paktem sowiecko-niemieckim etc.” Wstępniak nr. 3 – dając rys historyczny partii za których kontynuatora uważa się pismo – żali się, że „KPRP (pierwotna do 1925 nazwa KPP) nie potrafiła zmobilizować mas do walki o Polską Republikę Radziecką, mimo że rząd z Dzierżyńskim i Konem na czele znajdował się już pod „Warszawą” i na przyszłość ostrzega gorliwie przed takimi błędami.

Objawem charakterystycznym jest, że pismo uznające się za kontynuację KPP kierowanej jawnie przez Moskwę uprawia jakąś humorystyczną dyplomację w stosunku do czytelników: boczy się niby i fuka na Sowiety, nie pochwała aresztowania Broniewskiego, domaga się „zwartej organizacji” która by kierowała się interesem polskiego proletariatu, a nie interesem państwowym ZUSR” (czysta to zresztą dialektyka bo wiadomo przecież że interesy te wydają się komunistom identyczne).

* Lewą marsz – czasopismo społeczno-literackie. Nr 2. grudzień, 1942. Str. 12; Nr 3. Styczeń 1943.

Dyplomacja ta jest zupełnie zrozumiała – nienawiść do czerwonych morderców miliona Polaków jest tak wielka i powszechna, że niemożność otwartej gloryfikacji Sowietów na gruncie polskim zrozumieli nawet i panowie, których pakt sowiecko-niemiecki... chwilowo zdeorientował, czy opowiedzieć się za Niemcami czy przeciw nim.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

NOWE PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE*

Zaczęło wychodzić bardzo ciekawe, poważne pismo.

Specjalnie dodatnie wrażenia robi może copraena w porównaniu z sowieckimi agitatorskimi szmatkami mającymi uparte nieuzasadnione pretensje do literackości jak różne „Przełomy”, „Lewą marsz” itp. kwiatki z niwy humorystyczno-komunistycznej.

Najciekawszą chyba częścią „Kultury Jutra” są (podobnie dość zresztą pisane) dwa pierwsze artykuły. Wstępny „Wojna a Kultura” jest jak by manifestem „kreacjonizmu” jak się sam nazywa. Głosi nadejście nowej epoki kultury, której hasłem nietzscheańska wola tworzenia, lecz ujęta w karby chrystianizmu i wyzwolenie nie przez russowski powrót do natury, lecz przez podporządkowanie natury kulturze.

Drugi „Polska w kulturze świata” jest bardzo ciekawą próbą uchwycenia cech osobowości duchowej naszego narodu z wyraźną chęcią wykazania przede wszystkim cech „kreacjonistycznych”. Ale szereg bystrych

spostrzeżeń i trafnych syntez czyni artykuł pasjonującym.

Artykuły „Martyrologia profesorów” i „Biblioteki i księgarnie pod okupacją” dają wiele starannie zebranego materiały informacyjnego.

Bardzo złośliwy *passus* natomiast ma miejsce w związku ze szkicem „Słabości i moce poezji z lat niedawnych”. Autor mówi zresztą tylko o słabościach a o mocach milczy jak zakłęty, a zagadnienie ułatwia sobie, określając ostatnią fazę twórczości Tuwima i Leśmiana jako „dziwaczne, zgoła żargonowe słowotwórstwo”, awangardę jako spóźnioną o lat 20 podróż do kresu niezrozumiałstwa, Wierzyńskiego i Liberta jako „utalentowanych” i nieustępujących... Kleszczyńskiemu. A jeżeli wspomina Czechowicza to jedynie po to, by przyznać mu zasługę... „dojrzenia rąbka zagłady”.

Otóż (o ironio losu!) bezpośrednio po stwierdzeniu, że „znów oczekujemy od poezji polskiej, że wyrówna lata swego upadku i stanie się... gołębicą jutra”, następuje błahy i sła biutki wierszyk „List jeńca”.

W ogóle jeśli chodzi o wiersze, (jest ich w numerze cztery) to są one pozycją najsłabszą.

Bogatej zawartości dopełniają artykuły „Muzyka na przełomie”, „U podstaw samorządu kultury” i ogłoszenie konkursu na utwór poetycki w Warszawie.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

* Kultura Jutra – miesięcznik poświęcony zagadnieniom nauki, sztuki i wychowania. Nr 1. Rok 2. Warszawa styczeń, 1943, Str. 24.

POEZJA ULICZNA*

Swoistą nowością na konspiracyjnym rynku wydawniczym jest ten ośmiostronicowy zbiorek piosenek ulicznych. Słyszeliśmy je niezliczoną ilość razy w tramwajach i na ulicach – śpiewane przez dziadów i uliczników. Piosenki te były zazwyczaj układane przez inteligenta. Miarą wartości piosenki stawała się dopiero jej dalsza spontaniczna kontynuacja aż w nieskończoność prawie. Tak było np. ze świetnym przebojem

pełnym zdrowej i niefałszowanej kpiny z okupanta: „Siekiera, motyka, bimber, szklanka”.

Niektóre teksty są bodajże istotnie spontanicznym utworem dyletanta – jak np. „Balladyna” mająca tradycyjne ludowe rekwizyty.

Jeśli już mowa o rekwizytach: nie brak tu oczywiście nieodzownych point z „magicznymi” czterema literami. Ten wieczyste niezawodny w tego rodzaju twórczości „chwyt” – zjawia się zresztą na 8 stronach tylko 2 razy.

Jan Marzec [Wacław Bojarski]

NADEŚLANO DO REDAKCJI

„Karol Szajnocha SZKICE HISTORYCZNE”
(o stosunkach polsko-niemieckich) Str. 182.
Cena 12 zł.

ŚPIEWNIK ŻOŁNIERSKI – zeszyt 1. Nuty
i słowa. Str. 12. Wydawnictwo powielaczowe. Cena
2 zł.

LECZ TO NIC I SZTURMÓWKA – Nuty i słowa.
Cena 5 zł.

BIULETYN SŁOWIAŃSKI – nr 1, 2, 3, rok IV.

MŁODZIEŻ IMPERIUM – marzec.

OFIARY

Na stypendium dla Stanisława Łomienia⁷ za
pośrednictwem FOP. – dwa razy po zł 200,-
(dwieście).

POD MIKROFILMEM

Posłuchajcie dzisiaj, Kochani, ślicznego
wierszyka towarzysza A. Porajewicza, wybitnego
poety „polskiej mniejszości narodowej”. Cytujemy
z „Podręcznika literatury dla klasy VI”, Moskwa,
1940 r.

Wierszyk nosi tytuł:

„Pieśń o sercu wodza”.

* Posłuchajcie ludzie – Warszawa, luty 1943. Zeszyt I. Wydawnictwo KOPRu, str. 8. Odbito w drukarni „Wolność”.

Ojczysta śpi ziemia.
Spoczęły w uśpieniu
I wiatry i ciepłe mórz tonie.
Lecz serce krainy,
Lecz serce Stalina
Wciąż czuwa, i tętni i płonie.

We wszystkich stolicach
Poddasza, piwnice
Są pracy człowieka udziałem.
Lecz w naszej krainie
Nam wołą Stalina
Pałace słoneczne oddała.

Kto w mieście i wioskach
Dał wiosnę beztróską
I radość dał naszej dzieciarni?
To ramię krainy,
To ramię Stalina
Tę dziatwę do piersi przygarnia.

Szlak wiję się wstęgą
Nad skał niebosięgiem
I Wołga do Moskwy dociera,
I serce krainy,
I serce Stalina
Jest dumne ze swych bohaterów.

Gdy książka po śniegu
Do tundry dobiega,
Gdy radio rozbrzmiewa nad lody,
To serce krainy,
To serce Stalina
Z rozkwitu się cieszy narodów.

Gdy Czkałow szybował
Nad morze lodowe,
Kto natchnął go siłą i wolą?
To serce krainy,
To serce Stalina
Nad biegun powiodło samolot.

Czytamy, czytamy i coś nam cię przypomina.
Aha! Zwłaszcza trzecia zwrotka jest jakby żywcem
przerobiona z równie poważnego i patetycznego
wiersza pt. „Zima z wypisów szkolnych”
Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:
„Któż to tak śnieżkiem pruszy z niebiosów?
Być oczywiście pan wojewoda” etc.

Śmiało możemy teraz powiedzieć, że Stalin na
zagrodzie – równy wojewodzie.

AMORKI NAD RZESZĄ

Zazdrościli raz ruin
berlińczycy Italii,
że niby turystyka,
że ładnie, że forsa,
aż dobry los się zgodził,
by darmo je dostali,
lecz by się za to spod nich
żaden nie wydostał.
Przyfrunęły amorki
an(g)ielskie po prostu,
w pół godziny zrobiły
ruin do cholery!
Niemiecka turystyko!
Co za wielki postęp!
Już dziś jest wśród „zabytków”
wprost trudno wybierać.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

¹ Nawiązanie do sentencji „ars homo additus naturae” – sztuka to człowiek dodany do natury

² (fr.) powrót do natury.

³ Ks. Józef Warszawski, „Uniwersalizm. Zarys narodowej filozofii społecznej”

⁴ (łac.) Trzeciej drogi nie ma.

⁵ Roald Amundsen (1872-1928) – norweski badacz polarny, pierwszy zdobywca bieguna południowego.

⁶ Tu: północnych.

⁷ Andrzeja Trzebińskiego